

8

Kamen

M I E S I Ę C Z N I K

TREŚĆ NUMERU ÓSMEGO:

STANISŁAW CZERNIK	Treść i forma . . . str.	133
JAN SZCZEPAŃSKI	Nowa antynomja klas . . .	137
ANTONI MADEJ	Z cyklu „Kształty“ . . .	138
CZESŁAW MIŁOSZ	W tym właśnie kraju . . .	138
LUDOMIR RUBACH	Matka . . .	139
GRZEGORZ TIMOFIEJEW	Rewolucjonistka . . .	139
JADWIGA WAŻEWSKA	Płaczący pies . . .	139
LEOPOLD LEWIN	Hymn . . .	140
ZENON WAŚNIEWSKI	Stacja . . .	141
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Noc pod Hrubym . . .	141
KAZIM. AND. JAWORSKI	Rozbitkom „Czeluskina“ . . .	141

Poezja czeska i rosyjska:

JAROSLAV SEIFERT	Pocałunek na drogę . . .	142
TEODOR SOŁOGUB	Czarcia huśtawa . . .	142

Poezja bułgarska:

IWAN WAZOW	Poemat . . .	143
P. K. JAWOROW	Westchnienie . . .	143
TEODOR W. TRAJANOW	Wybrzeże śmierci . . .	143
LUDOWA PIEŚŃ MACEDOŃSKA	. . .	143

Z poezji angielskiej:

HILAIRE BELLOC	Południe Anglii . . .	144
WITOLD KASPERSKI	Dzień Heleny . . .	145
JÓZEF CZECHOWICZ	Uspołecznione absurdy . . .	147
Książki najnowsze . . .	. . .	148
Noty . . .	. . .	150
Pro urbe sua . . .	. . .	152

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO: „Mój przyjaciel“

Okladka linorytowa Z. Waśniewskiego

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski Wydawca: Zenon Waśniewski

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki

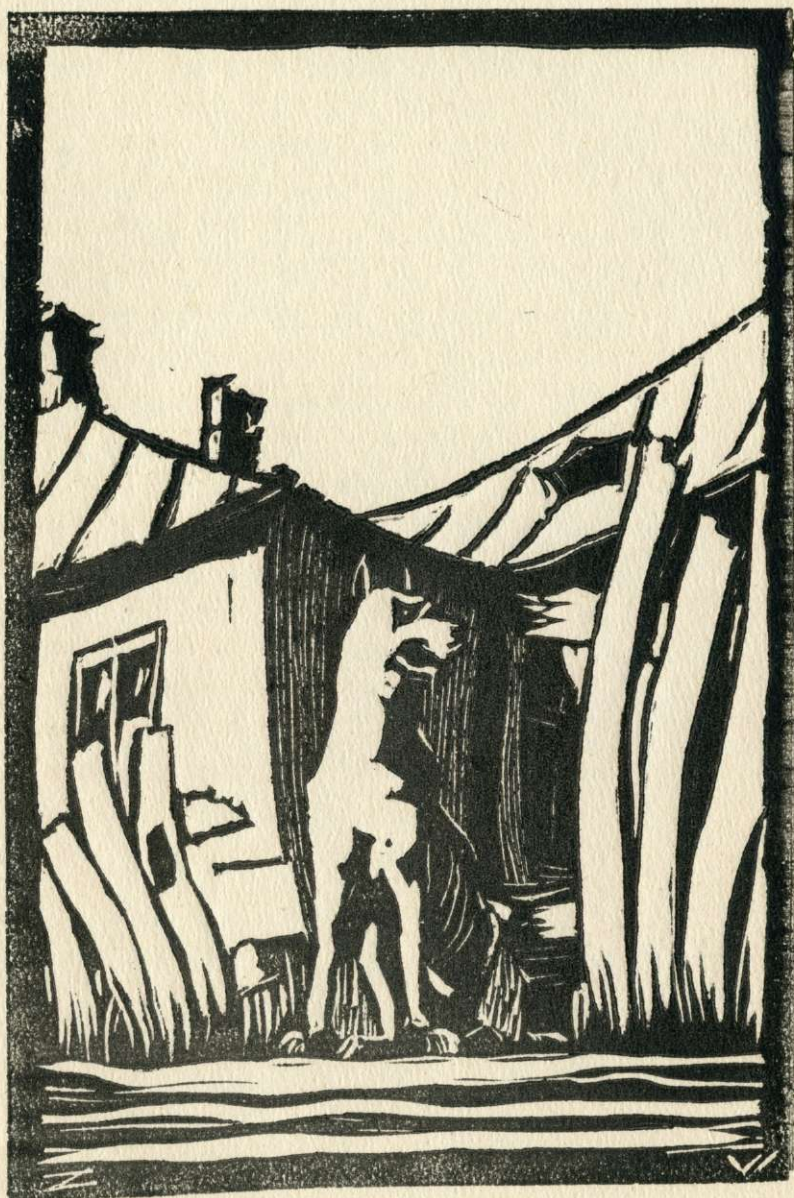
Redakcja: Chełm Lubelski, Reformacka 43. Redaktor przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Administracja: Zenon Waśniewski, Chełm Lubelski, Reformacka 15 B.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.

Cena numeru pojedynczego 50 gr.

Tłuczono w drukarni „Kultura“ Chełm, Lub. 10.



Rekonstrukcja procesu twórczego prowadzi nas do punktu, z którego wyrasta artystyczny wiersz, jako organiczne zespolenie treści i formy.

Wiersz nienapisany jest oczywiście rzeczą najzupełniej niewiadomą. Poeta, stawiający sobie zgóry temat i dyspozycję, pisze wypracowanie. Poeta, wybierający zgóry jedną ze znanych form, wybiera szablon. Wiersz nie leży bowiem zamknięty w duszy czy umyśle poety, jak jeszcze nienarodzone, ale już ukonturowane dziecko, — i kwestja jego napisania nie jest sprawą wydobycia rzeczy już istniejącej. Wiersz przed powstaniem zasadniczo nie istnieje w jakiegokolwiek postaci. Istnieje tylko materiał na wiersz — w postaci najzupełniej surowej: piasek, glina, kamień, wapno. Jeżeli coś najsluszniej można by nazwać treścią — to właśnie ten pierwotny materiał. Z chwilą porządkowania, wyeliminowania jednego lub kilku szczegółów z pośród masy innych — materiał powoli przestaje być treścią w czystym znaczeniu, gdyż oznacza równocześnie jakiś układ, albo formę. Oczywiście, nie oznacza to zmniejszania się zawartości treściowej, raczej przeciwnie — przez powstanie formy zawartość treściowa doznaje podkreślenia, i tu właśnie leży sprawa artystyczna — wyboru takiego najidealniejszego układu, w którym zawartość treściowa materiału zostaje najdoskonalej przedstawiona. Wtedy następuje zrośnięcie treści z formą w nierozzerwalność.

To, co oznaczyliśmy jako pierwotną czystą treść — jeszcze w chaosie — jest zagadnieniem pierwszorzędnego znaczenia, może jednym z najbardziej zasadniczych problemów w liryce. Odrazu musimy przeprowadzić rozgraniczenie tego materiału. Rozróżniamy materiał istotny i surogat. Materiał istotny — to oczywiście wszystkie prawdziwe przeżycia w całej ich różnorodności zmysłowej i umysłowej. Są one bogactwem poety i jego materiałem podstawowym. Surogat — to materiał zdobyty pośrednio, nie przeżyty lecz jakotako przyswojony lub wyimaginowany. Materiałem istotnym jest np. wiedza poety o zjawiskach głodu, jeżeli powstała z prawdziwych niedojedzeń i nędzy, surogatem — wiedza nabyta z relacji innych ludzi, uzupełniona wytworami własnych przemyśleń.

Mam wrażenie, że w ten sposób postawione rozróżnienie chwytą zagadnienie treści w liryce wprost u korzenia. Jeżeli w wierszu ma być ciało, krew, życie — musi jego materiał pierwot-

ny być autentyczny, — w przeciwnym razie pozostaje zbiorowiskiem pustych słów, igraszką, której z punktu dzisiejszych kryterjów trzeba odmówić tytułu sztuki. Nie możemy oczywiście tutaj mówić za „wczoraj“ i za „jutro“. Kryterja sztuki są zmienne. Dziś żądamy prawdy w sztuce. Być może, czas wczorajszy nachylał się właśnie ku surogatowi, może ówczesne sprawdziany pozę, zmyślenie i zgrabne zakłamanie poety uważały za odpowiednią postawę wobec poezji. Może te sprawy mierzą się nawet sprawdzianami klasowymi. Może istnieje poezja proletariacka i nieproletariacka, poezja prawdy i poezja nieprawdy.

Kwestja pierwotnej treści istotnej, posiadanej przez poetę, staje się postulatem zasadniczym, który w najwyższym stopniu decyduje o całości procesu twórczego, nie tylko jako punkt wyjścia i wektor kierunkowy.

Pomijając zagmatwaną sprawę psychologii poety w czasie powstawania wiersza, cały nie dający się opisać irracjonalizm tej chwili, a więc momenty w ogromnej mierze niezależne od poety, nie pozwalające nawet ująć się w jakąś zbliżoną do prawdy tezę, — pozostaje jednak zawsze do dyskusji sprawa ustosunkowania się poety do jego powstającego wiersza. Jest to sprawa dyscypliny artystycznej, sprawa świadomego przyjmowania lub odrzucania tego, co mu nasuwa szybki film wizyj dostarczanych przez podświadomość w czasie tworzenia wiersza. Poeci wiedzą z doświadczenia, ile tych nasuwających się możliwości odrzuca się, wybierając tylko niektóre. Ile jest pokus, zwłaszcza tych kuszeń przez widma bezcielesne i bezkrwiste, które chcą wtargnąć do wiersza, nie posiadając do tego jakiegokolwiek legitymacji. Poeta, który poddaje się terrorowi tych widm, schodzi z drogi artystycznej. Tylko najściślejsza selekcja nasuwających się możliwości może przynieść w rezultacie wiersz, będący dziełem sztuki. Nie trzeba dodawać, że kardynalnym sprawdzianem tej selekcji staje się autentyczność lub papierowość materiału szczegółowego.

Tu tkwi ten pierwiastek genetyczny, który łączy się z wszystkimi zagadnieniami, potocznie nazywanymi formą. Upadek, czy niedokrwistość, czy anachronizm — obojętne, jak to nazwiemy — współczesnej poezji polskiej wynika z oderwania tych zagadnień od pnia genetycznego. Poezja nie jest kwestją rymów, metafor, elipsy, aliteracji. Są to zagadnienia o pobocznym znaczeniu, — dobrze użyte mogą wierszowi w czemś przysłużyć się, ale ani oddzielnie, ani razem wzięte nie decydują wyłącznie o wartości wiersza.

Układanie wiersza jest więc porządkowaniem, układaniem, splataniem wyrazów, będących całkowitemi odpowiednikami

autentycznej treści poety. Wechodzi tu w zagadnienie oś główną, dokoła której odbywa się porządkowanie. Jest to drugi czynnik procesu twórczego. To sprawa koncepcji treściowej. Oś główna to rodzaj wyczuwalnego kręgosłupa, skupiającego szczegóły. Można określić, że taką ośią główną może być jeden wyraz lub grupa wyrazów w znaczeniu symbolizacyjnym, wizja, dźwięk, dotyk, idea przenosząca się, kostniejąca w wierszu. Oczywiście nie jest to temat, bo tematykę wiersza poznajemy najczęściej (mogą być wyjątki) z chwilą jego ukończenia. Oś główna — koncepcja treściowa — przedstawia się dla poety, jak niepoznana osoba w ciemnym pokoju. Poznajemy ją bądź przez zbliżenie się i stopniowe badanie jej kształtów w ciemności, bądź przez nagłe zapalenie światła, bądź w innych okolicznościach.

Ta wyczuwalna, lecz jeszcze dokładnie nieukształtowana w naszej świadomości koncepcja treściowa, posiada jakiś swój kształt — i rzeczą poety jest ten kształt rozpoznać, wyczuć, wymierzyć, i przenieść do wiersza w postaci najbardziej wiarogodnej. Tu właśnie występuje zagadnienie formy i sprawa techniki poetyckiej. Poeta nie może zgóry przesądzać tych spraw i dokonywać wyboru formy w oderwaniu od koncepcji treściowej, bo wtedy zrywa z tem, co również stanowi o sztuce, — z czynnikiem t. zw. irracjonalizmu, który zreguły nie zgadza się na jakiegokolwiek formy obmyślane przedtem. Trudno usprawiedliwić jakąś koniecznością artystyczną wlewanie koncepcji treściowej w czterowiersz, gdyż oznacza to wypychanie istoty rzeczy poetyckiej w jakąś foremkę przy nieustannym kompromisie z materiałem nieistotnym na rzecz rymu, metafory lub rytmu. Rzeczą poety jest właśnie nie dopuścić do tego i czuwać, by tkwiący w jego koncepcji treściowej naturalny zarys formy ułożył się sam i stężał w pewnego rodzaju jedność. Oczywiście, działa tutaj intuicja, bez której nie może być prawdziwego poety, odporność wobec wzorów, które stają się szablonami, i zdecydowany stosunek do prawdy poetyckiej. Nie potrzebuję dodawać, że tego rodzaju metoda nie doprowadzi do sonetów lub oktafów, które wydają się w tem oświeceniu igraszką raczej, niż przejawami sztuki. Nie doprowadzi również do wierszy w stylu peiperowskim, które posiadają wszystkie zalety pięknych sztucznych kwiatów i ani jednej wady żywej roślinki.

W przytoczonych warunkach nie każdy, kto posiada tajniki rymowania i zdolność do składania metafor, może być prawdziwym poetą, — nie każdy wiersz nawet najgenialniejszego poety może być prawdziwym wierszem.

W ten sposób rozważania niniejsze doprowadzamy do końca — bardzo prostego: materiał-surowiec, będący autentyczną

treścią poety, materiał istotny, poeta wywala we właściwy sobie i swej koncepcji treściowej sposób. Jeżeli materiał ten został wyzwolony całkowicie w największym napięciu dobrej woli, czujności, ostrożności, intuicji, — ułożony w taką formę, jaką sam sobie w swej irracjonalności wyznacza, — otrzymamy wiersz o pełnych znamionach sztuki, — o takim zrośnięciu treści z formą, że treść jego będzie oznaczała formę, a forma treść — bez reszty. I to będzie styl. Wszystko inne jest półpoezją, poezją szablonową lub poezją stosowaną. Jeden taki wiersz prawdziwy wystarczy za tomy dzisiejszych wierszydeł, które wszyscy piszemy w poszukiwaniu tego idealnego utworu.

5

Wśród poetów dzisiejszych ten rodzaj ustosunkowania się do pracy poetyckiej jest rzadki, ale od czasu do czasu zdarza się. Prądy nowatorskie, które zagalopowały się w przeciwną stronę, przynosząc naręcza sztucznych, dziwacznych kwiatów bez życia, torują jednak drogę wśród ciężkich, bolesnych dla siebie doświadczeń. Niektórzy z nowatorów, zdecydowawszy się na odstępstwa od sztucznych doktryn, zbliżają się ku temu stanowisku. Ostatnie lata coś o tem mówią. Przodują w tym zapewne najprawdziwszym dla czasów dzisiejszych kierunku odrodzeńczym poeci, którzy wyszli z t. zw. nizin społecznych. Nie pozostaje to pewnie bez powodu. Zawiera to sens o znaczeniu społecznym, którego tutaj nie możemy rozpatrywać, — zresztą jest tak widoczny, że niemal namacalny.

Z poetów, którym wymieniony kierunek najbardziej jest bliski, wymienić trzeba przede wszystkim Przybosia. Jego „Wgłęb las“ mógłby być może ilustracją omawianego zagadnienia, gdyby nie resztki dawnych nawyków i niewygasły jeszcze respekt do dogmatyki Peipera. Młodożeniec w „Gamach i pejzażach“ stanął wyraźnie i zdecydowanie na tem stanowisku. W tym kierunku zdąża, wikłając się jeszcze mocno, płacząc papierowe programy proletarjackie z własną żywą treścią proletarjacką, Marjan Czuchnowski. Jego tom ostatni „Tak“ wyraża przejściowość. Nie wątpimy, że poeta naładowany tak niepospolicie wyrazistą aż do przejawienia własną treścią autentyczną rychło upora się z okresem przejściowym, i „uspołecznionym eksperymentem“ jego stanie się nie rymowany „Manifest“, lecz liryka, utkana z tych spostrzeżeń i przeżyć, któremi poeta dławi się wśród korzeni wiejskich.

Już te przykłady wskazują, że liryka nowatorska po zawiłych krążeniach wśród krętych ścieżynek zagadnień formalnych, zbliża się chcąc nie chcąc ku tej jedynej drodze, którą można by nazwać „autentyzmem“, ale to obojętne.

Niewątpliwie poeci t. zw. starej daty pewnie do tej sprawy się nie przychyłają. Musieliby zerwać uczuciowo z dotychczasowym swym dorobkiem, i zacząć pisać nanowo. Trudno. To ich dramat — smutny, ale nie bohaterski.

JAN SZCZEPAŃSKI

NOWA ANTYNOMJA KLAS

Dam syntetyczną definicję przyszłych dni —
były
jak smukłe czarno upięte biodra
co kołyszą miękko ciężkie syte myśli
pieszczone snami chciwych dłoni...
Będą — dni proste.
Noce w snach pięknych linii Hogarhta.
Zamilkły już lwy kamienne wyprężone szaro
nie brzękną w ciszy dźwięk rozbitych szyb.
Pamiętam...
Schumann palił czerwonym płomieniem Marzenie...
w błocie — bzy białe spryskane czarną krwią —
— w grubej nocy powoli tonął święty statek.
Dni będą jasne jak wzór tożsamości
proste otwarte jak horyzont pól —
życie ułożę w dedukcyjny system.
Jak Nicod przyjmę jeden aksjomat poranku
jeden pierwotny znak idących godzin
definicje przyniesie słońce w mroczny pokój
a dyrektywą będzie biały czas.
Mądrość dni prostych ujmę w wzór rachunku zdań:
 $(p' < g) < (g' < p) \text{ --- --- }$
I były... Aż...
Raz...
dzwoni czas w automatycznym telefonie
Hallo!
Kto?
Mów!!
Wykryto nową antynomję klas!!!
Brzęknęły szyby — ziewnął kamienny lew
na pękach smolnych groźne paliło się słońce
w białym jedwabiu smukła tańczyła dziewczyna...
Dzień był słodki jak krew strzaskanych warg
a potem
oczy zamarały w łoskocie zgruchotanych gwiazd.

Z CYKLU „KSZTAŁTY“

Są tu jeszcze odgłosy świata,
zamykam je kratami ciszy,
dla myśli tylko mam otwarte drzwi.

Nie śnić, bo pocóż śnić, gdy czuwam,
bezustannie pijąc alkohol dumy.

Nie, nigdy nie będzie między swobodą moją
a świata
podłości cień się płaszczył.

Kiedys pomyślę o tobie.

CZESŁAW MIŁOSZ

W TYM WŁAŚNIE KRAJU

1

Gon ogarów co rana słychać z puszczy dalekich,
A miłości co przeszły jak liście tu leżą.
Kłaniamy się księżycom, zorzom, nietoperzom
i płyniemy po ziemi jak niebem gwiazd rzeki.

Dym wiosek białoruskich łuny krwi przecina
I świat jak łaza wstrzymana za gardło nas dławi
Tak oto, choć szaleństwa byliśmy ciekawi,
Litwa nam jest początek i Litwa jest finał.

Niespokojni, myślący o martwych profilach,
O słowach karminowych, elegjach mozolnych
Tu staliśmy się piękni i od siebie wolni
I czas swój szlifujemy jak pęknięty brylant.

Kobiety nasze w izbach równo, cicho dyszą
I sfory, nasze sfory gnają wzgórzem obłem.
Zagramy im na rogu i oto są modły
Dla ludzi, w sprawiedliwej zastygniętych pysze.

2

Wieczorem wiatr. Z ciemności wypłoszeni
Głowy toczyli naprzeciw połyskom
Ognia w kominie. Pies, słuchając cieni,
Myślał, kamienny, z łapami przy pysku.
Wyżej szła chmura. A nad nią spienione
Stada gwiazd gnały i parły motory
Trójsmigłych statków. Złoty krzyż wieziono,
Jedwabny sztandar i hełmy z żelaza.
Wiatr był na ziemi. Dzwoniły jabłonie
Owocem żółtym i jarzębiny chrzęst.
Pchaliśmy pługi, dzwigaliśmy bronie
I twardo śpimy, z łbem zgiętym na pięść.

M A T K A

Cieniom Matki

Jest myślą—syna podnoszącą z pyłu
Upadku w mrokach godziny zwątpienia,
Jaskółką, wskazującą cel daleki
Między niebem a ziemią.

Jest słowem, które dzwoni w pustce serca
Ewangelicznym głosem przebaczenia,
Jest krzyżem, zawieszonym rąk rozpięciem
Między niebem a ziemią.

Jest komaunją żałobnej chwili życia,
Zapomnianej w samoopuszczeniu,
I jest aniołem w podróży ostatniej
Między niebem a ziemią.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

REWOLUCJONISTKA

Pamięci Wiednia

Dyszy miasto pole śmierci surowe,
ciężko toczą się groźne znoje
i dymu mroczny pęk gorączkowy
rozwiła się, drżąc i niepokojąc...

Wybuchające kratery armat
zasypały płomiennym gruzem;
legła na ziemi ranie czarnej
biała i zimna, podobna chmurze.

Włosy padły gęsty krwisty opar
i z ust niemych piorun nie grozi,
a bohaterstwo wstrząśnie Europą
— siła największej eksplozji!

JADWIGA WAŻEWSKA

PLACZĄCY PIES

Są rzeczy śmieszne, choć okrutne
Naprzykład: płaczący pies.
Czy pomnisz te bezdennie smutne
Psie oczy — pełne łez?

Gdy bierny, tępy syn niewoli,
Znoszący razy i głód,
Przepomni nagle swojej roli
I niewolniczych cnót.

Opuści łapy, zwiesi głowę,
 Obliże skrwawiony bok,
 Spuści po sobie uszy płowe
 I w ziemię utkwi wzrok.

Opuścił łapy—zwiesił uszy,
 Legł piersią na gruby piach
 I wypłakuje mękę duszy
 W nieutulonych łzach.

A taka żałość w nich widnieje
 Nad nędzą ubiegłych lat,
 Jakby pogrzebał już nadzieję
 I wszelki wiary ślad.

Oto odnalazł kres niedoli,
 Gdy złudzeń straciwszy szczerę,
 Pojął wyraźnie, co go boli
 I — nie mógł zerwać pęt.

Więc płacze — żrąca łza mu ścieka
 Z ocz mętnych, wpatrzonych w kres,
 I zwolna ciemna Noc powleka
 Psie oczy — pełne łez.

LEOPOLD LEWIN

H Y M N

Ziemio, srebrem strumieni gęsto wyszywana,
 Wykładana zielenią, bronzem przetykana,
 Nabijana w posadach miedzią i marmurem,
 Nakryta obłokami, tęczą i lazurem,
 Wyszadzana szlachetnym, hartowanym kruszczem,
 Porosła winnem gronem i pnącym się bluszczem,
 Bogata w różnobarwne, wielościennie bryły,
 W których szczerego złota przebiegają żyły,
 W kamieni drogocennych nieprzebrane złoża;
 Ziemio kojących kwiatów, owoców i zboża,
 Na którą cień rzucają wysokie ogrody,
 Którą witają — świty, żegnają — zachody,
 Na którą w roziskrzzone, pogodne wieczory,
 Jak złociste pająki wiszą gwiazdozbiory,
 W której gorącym wnętrzu wieczne ognie drzemią
 I wrząca lawa kipi.

Rozpalona ziemio,
 Rzucona w planetarne, śródgwiezdne ogromy,
 Gdzie pędzą meteory, komety i gromy!

S T A C J A

nieznane sylwetki przechodniów
 gryzące dymy lokomotyw
 spacer czerwonej czapki dzień po dniu
 i niekończący się szyn motyw
 obce słowa prośby i śmiechy i kroków odgłosy
 w okno wciska się miasto

fragment

dom najbliższy
 oto doktor sędzia z obowiązaniem okiem i chłop napół bosi
 i ktoś wieczny podróżnik szukający ciszy
 pociąg nim ruszy gwizdże dla odwagi
 trzask drzwi okrzyki pożegnania i powiewanie chust
 ruszają rumaki 20 wieku apokaliptyczne bestje ludzkiej sagi
 i ręce zbliżają się do ust

TADEUSZ BOCHENSKI (Kraków)

NOC POD HRUBYM

Gwiazdy leżą na oczach, gwiazdy czuję czołem,
 nieprzeliczone mnóstwo migocących ameb.
 Ruchliwe są i ciekłe, niebieską oskołę
 niosą w usta, nadludzki w mózg wsączają zamęt.
 Krąży głowa kamieniem, kulą złotej rtęci,
 jak planeta po niebie zimnem się przewala.
 Meteory skrzesają, wirami się kłębi,
 do opuszczonej ziemi uśmiecha się zdala.
 Nagle zbłądzi, o skałę zawadzi naiwnie
 i ocknie się, złocista od niebieskiej braci.
 Hruby czerni się przed nią pękato i dziwnie,
 otchłań masy po wielkich otchłaniach pustaci.
 Poziomy, stały, święty, odurza potęgą
 i najsłodsza pokorą w gardziel mi się tłoczy.
 Jakże go jutro stopy nieulekłe sięgną,
 gdy dziś widok przeraża, że zamykam oczy?

Puszcza szumi. O suche, gałęziste morze!
 O mowo niepożyta, która dręczysz ucho!
 Pod niebem, które płonie, wobec gór i w borze
 nie utulisz się, serce, bogów zawierucho.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

ROZBITKOM „CZELUSKINA“

Znamy to wszyscy dobrze. Czytało się Nansena.
 S. O. S. na ekranie i kry pękającej huk.
 Ale że to naprawdę, że to nie książka, nie scena, —
 któż z nas pomyśleć mógł?

Ciepło jest siedzieć przy biurku lub w knajpie przy kufiu piwa,
 nawet ulicą błądzić, gdy w płuca się wsącza złośliwa mgła.
 Załogę „Czeluskina“ otacza noc przeraźliwa
 i wieher na płótnach namiotu pieśń borealną gra.

Apokalipsą krwawą wybucha polarna zorza
 (w zgrabiałe palce styło ujmując profesor Szmidt)
 ogniste płynne draperje usłały niebios bezdroża
 i kreślą zziębniętym ludziom niezrozumiały mit.

Więc skupić się koło radja jak przy płonącym ognisku,
 gdzie Krekkel telegrafista wyławia ciepło słów —
 że Lapidewski — że „Smoleńsk“ — że pomoc już jest blisko —
 a lód złośliwie trzeszczy i z hukiem pęka znów.

Niesposób spać na wulkanie, gdy lawa ma buchnąć przez krater,
 tak samo gdy nogi parzy kruche lodowe szkło,
 i głębia morza pod spodem i kry płynącej zator
 i rozpacz gwiazd wyiskrzonych lub zorzy bengalskie tło.

Mieszkańcy ciepłych pokojów, poddaszy i izb niezdrowych,
 którym zarówno na oczy sen spada — skrzydlaty gość!
 Pomyślcie o nocy tragicznej rozbitków na krze lodowej,
 drżących, czy łoskot śmigi, czy śmierć im obwieści: — dość

POEZJA CZESKA I ROSYJSKA

JAROSLAV SEIFERT

POCAŁUNEK NA DROGĘ

Motto: Piękne panie całowały
amerykańskich ochotników

Nie zapomnę, nie zapomnę nigdy
tego, com widział w ów dzień.
Brzęczały szyby katedr,
wysoko płonęło Verdun.

Płonęła bitwa jak pochodnia,
drzewa drżały aż do korzenia.
To jest okno szpitala światów,
nie zaś niebios ciemne sklepienia.

Niby puste puszki od konserw
ludzie tutaj gniją i rdzawieją.
Walczący za Francję, widzę:
w strzelnicy gwiazd zawieja.

Za Francję?
Dotąd-em kraj ten omijał!
Dlaczego wznoszę mój karabin,
celuję i zabijam?

Deszcz rosi na te ciała.
Z pożółkłych twarzy oczy otwarte
[patrzą.
uaglądam w te oczy —
Zmarli jakby płaczą...

Deszcz rosi i nas, żywych.
Pod cieniem hełmów i nam coś
[w oczach świeci.
Dlaczego jestem tu, dlaczego czu-
[wam tutaj,
gdzie mi tak smutno przecie?

Za słodką Francję walczę?
Widać mi droższa, niż własna ziemia
[rodzinna,
a nie znam kobiet stąd,
nie próbowałem tutejszego wina...

Za pocałunek jednej małej miss
tam, u nas, za oceanu falami
(kiedym odchodził na wojnę,
dotknęła mej twarzy ustami).

Podąła mi rękę, ścisnąłem ją
i wtedy wszystko było stracone
(byłem wychudły, ciałem głód) —
— ucałowałem jej pierścioneć.

I czy wyrzucać jej to mam,
aż gorycz wejdzie we wspomnienie
[słodko smakujące,
czy mam przeklinać ją, czy płakać,
czy śmiać się wkońcu?

Niech tylko zerwie się światowa
[wojna,
niech zagrzmia działa, zakopane w
[ziemi!
Za pocałunek jednej małej miss
będę milczał — będę niemy...

Z czeskiego spolszczył Józef Czechowicz

TEODOR SOŁUGUB

CZARCIA HUŚTAWA

Pod jodłą kędzierzawą
nad gwarnej rzeki toń
kołysze swą huśtawę
kosmata czarcia dłoń.

Czart huśta, śmiech się niesie
to wprzód, to wtył,
to wprzód, to wtył,
a deska trzesze, gnie się,
sznur wciąż o sęki trze się,
już mu nie starczy sił.

Z skrzypieniem wciąż pomyka
ruchomy, słaby blat,
a czart chichocze dziko
na cały boży świat.

Bezradnie się kołysze
to wprzód, to wtył,
to wprzód, to wtył,
sznur ścisam, w bezdni wiszę
i ciągle tylko słyszę,
śmiech zgrzyta jak sto pił.

Na jodle kędzierzawej
chichocze siny bies:
— Trafiłeś na huśtawę,
więc leć i czart cię bierz!

Pod jodłą kędzierzawą
pisk słychać djablich rzesz:
— Trafiłeś na huśtawę,
więc leć i czart cię bierz!

Wiem dobrze, bies nie skróci
tych strasznych moich mąk,
dopóki mnie nie zrzuci
zamachem groźnych rąk.

Dopóki się nie przetrze
ostatnia z wątlých lin,
dopóki nie podeprze
mej głowy ziemi klin.

Nad jodły wleczę żwawo
i czołem w ziemię trach!
więc, czarciu, pchaj huśtawę
wciąż wyżej, wyżej, — ach!

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

POEZJA BUŁGARSKA

IWAN WAZOW (1850—1921)

POEMAT

Dzień cały w górach na podgwiezdnej grani
 błąkasz się sam wśród skał nad śmierci metą
 i samotnie schylony ku czarnej otchłani,
 myślisz i marzysz, skupiony poeto.

Jakiż zaprzęta myśli twoje temat
 i dokąd marzeń twych prowadzi droga?
 — Mój umysł zajął największy poemat.
 — Poemat Danta? może Tassa?...

— Boga!

Spolszczył K. A. Jaworski

P. K. JAWOROW (1877 — 1914)

WESTCHNIENIE

W gasnącem świetle dnia — żegnalne blaski zórz,
 aromat róż, co ich nie było zrywać żal,
 łabędzia tylko pieśń, od świtu chora już
 samotność duszy mej, wśród smutku ciemnych fal...

Ach, cichy smutek ten, gdy się przybliża noc
 i gdy na nagi krzew westchnieniem zefir siadł!
 Szerokich skrzydeł lot, ich opuszczona moc —
 a dusza — martwa już, i grobem jej jest świat.

TEODOR W. TRAJANOW (1882)

WYBRZEŻE ŚMIERCI

Bieleją w mroku groby, zdjęte ciszą,
 w cyprysów szczyty sen się ciemny wsnuł.
 Przycichły fale: ledwo się kołyszą,
 szkielety z martwym żalem wlokąc wdół.

Z szkieletów jęk, ni krzyk się nie odzywa;
 widnokrąg nocny śmiało patrzy w cień.
 Niby ojezyczny zjawia, obłok spływa,
 aby utonąć pośród gwiazdnych émien.

Z bułgarskiego spolszczył Antoni Bogusławski

LUDOWA PIEŚŃ MACEDOŃSKA

Śpiewaj Jano, śpiewaj miła córko!
 Stale siedzisz, Jano, koło krosna
 I wyszywasz sztandar macedoński.
 Przez dzień nieszczęście wyszycie sto drahm
 [srebra,
 Sto drahm srebra — i jedwabiu libię,
 Napisz piesz: śmierć albo swoboda!

Komu cheesz go, Jano, podarować?
 Zali Turkom czy przeklętym Grekom?
 „Ani Turkom ni przeklętym Grekom,
 Komitadżom naszym macedońskim,
 Co to błądzą pustemi górami“.

Stale siedzisz, stale siedzisz, Jano,
 I wyszywasz jedwabną szateczkę
 Potrzebujesz aż sto łutów srebra.

Tak powiada Janiny mateczka:
 „Biada Jano, biada miła córko?
 Dla kogo są te jedwabne szatki?
 Męża nie masz, by te szaty nosił,
 Brata nie masz, by te szaty nosił?“

Odpowiada białolica Jana:
 — „Ale, ale moja stara Matko,
 Będzie nosił je mój Junak Jeny.“ —

„Wszak Twój junak padł na wojnie“.
 — Przekłeta bądź, kukułko ty siwa,
 Co kukając na górze pirynie,
 Omamilaś naszych młodych chłop-
 [ców!.

Spolszczył Ludomir Rubach

Z POEZJI ANGIELSKIEJ

HILAIRE BELLOC

POŁUDNIE ANGLJI

Kiedy w środkowej mieszkam Anglii,
 Niemilej i nasiąklej wodą,
 Zapalam w wieczór lampę w swym pokoju:
 Od pracy mię marzenia wiodą,
 Wzgórza się jawią z hrabstw południa wielkie
 I myśl im moja jest gospodą.
 Wysokie wzgórza hrabstw południa Anglii
 Rzędami wznoszą się u morza,
 I tam to, tak, tam, w tych wysokich lasach,
 Chciałbym się błąkać wśród bezdroża
 I chciałbym, by rówieśni — chłopcy, gdym był chłopcem —
 Byli wraz ze mną tam, drużyna hoża.
 Północnej Anglii ludzi
 Poznałem dobrze i głęboko:
 Puste przestrzenie swej kochają ziemi,
 Mgły tam na niebie są wysoko,
 Z obronnych murów, z zamków na wyżynie,
 Dalekie góry widzi oko.
 Zachodniej Anglii ludzie
 Ci mają Severn, rzekę swoją,
 W której brunatne fale miecą liście
 Osiki, co nad brzegiem stoją:
 Gór tajemnice wysledzili wszyscy
 I ucho starą pieśnią poją.
 Ale mieszkańcy hrabstw południa
 Najlepsze i najmędrze mają serce—
 Uśmiech swój biorą z fal wybrzeża głośnych,
 A hart przeciw rozterce,
 A radość w oczach czerpią chyba z wiosny:
 Gdy na te wraca z mórz kobierce,
 Fijołki nagle u jej zakwitają stopy,
 Czar niespodziany lśni w iskiecie.
 Nigdy pomiędzy sosny w bór nie wchodzi,
 A wciąż ze Sussex czuję wonie;
 Na spłacheć ziemi nie nastąpię nogą,
 By nie czuć się jak na swym zagonie.
 Uroczystą i nagą, hen, wzgórza się linją
 Ciągną na nieboskłonie.
 Rzeczy zgubionych nie umiałbym szukać
 I nie mnie łątać co złamane;
 Obawiam się, że gdy się kres przybliży,
 Sam jeden się zostanę —
 Któż zechce być pociechą moją,
 Przyjaźnią któż ukoi ranę?
 Starannie żyć, zgromadzić chcę i wybrać
 Przyjaciół z swej sussex'skiej roli:
 Z zagonów swoich w gwiazdy zawsze patrzą
 I ugór orzą swój powoli —
 Oni i Bóg ten z hrabstw południa Anglii
 Dodadzą sił mej chorej woli.
 Jeśli wzbogacę kiedy się w mem życiu
 I jeśli długich lat dożyję,
 Chatę wystawię pod strzechą, pod długą,
 Przed zimnem do niej się ukryję.
 Tam się o Sussex pieśni będzie śpiewać,
 Baśnią o Sussex się upiję.
 A dom postawię ten wśród drzew, drzew wniebopiennych,
 Tuż, tuż u brzegu morza:
 Rówieśni moi, chłopcy, gdy ja byłem chłopcem,
 Siedzieć tam będą i pić ze mną, ma kompanja hoża.

Z angielskiego tłumaczył Stanisław Helczyński

DZIEŃ HELENY

(Fragment z powieści p. t. „Nauczyciel”)

Przesuwają się monotennie dni. Szare schłostane deszczem płachty. Marzec. Pola pstrokate, poplamione zrudziałym śniegiem. Chaty przysiadły nad drogą jak baby, okutane liściem i słomą. Wiatr siecze zukosa deszczem. Noce czarne i oślizgłe.

Dziwna jest ludzka samotność w takie noce i dnie. Człowiek oddala się od wszystkiego, a cofa się wgłąb samego siebie, w skorupę własnych, ślimaczych przeżyć. Wgryza się we własne istnienie. Przeżuwa wielkroć swą karmę duchową. Znajduje w niej posmak rzeczy zapożyczonych a tak bardzo własnych, choć oddalonych. Patrzy w siebie. Tak — postaw płótna zwinięty na tkacki wał. Odwijać, odkręcać. Skąpem światłem dnia dzisiejszego naświetlać każdy centymetr tej taśmy. Wiązać ją ze sobą nierozzerwanie. Tkać nową osnowę rzeczy, które idą. Przykucnąć nad własną nędzą. Małość czy wielkość swą ciężko na barki dźwignąć i iść. Nieść ją nieustępliwie, choć nowy dzień słońcem w oczy nie bryźnie.

Odszukać swą wieczność człowieczą. Pazurem uchwycić. I nie dać się. Mól zniechęcenia wświdrowuje się w mózg. — Dla kogo? — Poco? — O, hasła nie brak. Ale te dalekie marcowym, zszarganym dniami.

Prawdy, prawdy codziennej, prostej i bliskiej!

Świt już. Matowieje okno. Okno matowe jak (błękitne niegdyś) oczy Heleny. Zmatowiały i wypelzły. Dziwnie czyste i jasne są oczy dzieci. Ach, i ona dzieckiem była. Pod oknem kwitły krwawe pelargonje i fioletowe malwy. Dziwne jest to okno dzieciństwa. Jak trudno przez nie wyjrzeć na świat.

Dźwiga się dzień. Dzień nowy. Nowego jednak niema nic. Chyba inny napis na kalendarzowej kartce. A zresztą nawet godziny zegar te same wskazuje. Jak wczoraj, jak zawsze.

Trzeba pozostawić siebie w pokoju. Nie. To tak trudno. Spacer niedaleki. Otwierają się drzwi. Surowe powietrze uderza w twarz. Płaszcz szczelniej. Pierwsze dzień dobry. To dzieci idą do szkoły. Na drodze błoto zmieszane ze śniegiem. Postrzępione wory chmur wiszą na topolach. Wiatr niemi kołysze. Wyciska krople dżdżu. Ktoś idzie naprzeciw. Zgarbiony i mały. Twarz szara i pospolita. Rzecz — nie człowiek. Tam koń przyczepiony do woza dołą swą wlecze mozolnie. Gdzieś na dachu wrona chrypi. Ot, i już szkoła. Klasa na prawo. Na lewo mieszkanie gospodarza. Sień wspólna. W sieni stoi drabina, kosz i uparo-

wane dla swiń ziemniaki. Na drabinie dzieci składają mokry przyodziewek.

— Ach, tyle razy mówiłam!

— Kiedy, proszę pani...

Klasa. Ławki — trzysobowe. Tu tablica. Tam mapa. Kilka obrazów i portretów. Nieco wilgoci. Lekki zaduch. Hałas. Słów nie rozróżnić. Skargi.

Modlitwa. Dziennik. Polski. Rachunki. Przyroda. Godziny ciętko. Or, głowę o szybę oprzeć. Oczy przymknąć. Za oknem chlew. Przed chlewem nawóz pływa w gnójówce. Wiecznie ten sam. Coś jak fatum. A jednak trzeba. Trzeba powrócić. Zdławić rosnący ból. Trwać. Wiązać rwące się nici. A nad gankiem wiatr rysuje ostreimi palcami na blasze litery: „Jednoklasowa Publiczna Szkoła Powszechna w Kobylcy“

I znowu godzina. Dzieci hałaśliwie odkrzykują modlitwę. Powrót. Zimno i pusto. Samotność. Pająk smutku dziwne sieci mota. Aż listy. Wielkie święto listów: czwartek. A listy są jak ludzie. Urzędowe i serdeczne. Obce, nieraz złe i opryskliwe, obojętne lub bliskie. Czasami przynoszą coś, jak dalekie spojrzenie przez okno dzieciństwa. Okno opięte krwawą pelargonją — Przesłonięte firanką błękitu.

Listy są cudownymi podróżkami. Przynoszą oddech z oddalonego, tętniącego życiem świata. Zawierają w sobie malutką cząstkę z kogoś innego. Wycinek życia. A więc jest o co samotność zahaczyć. Leży ich kilka: niebieskie i białe. Koperty nieomal oddychają. Cichutko i spokojnie. Najpierw te białe.

— „Wiem, że tam u Ciebie teraz błoto, nuda i smutek. Codzień idziesz tą samą drogą: tam i z powrotem. Znasz każdą grudę zoranej kołami ziemi. Wiem, wierzyby wiatr stroi i smutno ci“.

Helena podnosi głowę: — tak, smutno mi.

— „Ach, Henko, jak wiesz, pracuję w tej przebrzydłej okolicy. Wyobraź sobie, wszyscy tu garnki lepią. Poznałam już księdza i byłam wczoraj u sekretarza. A jego żona całkiem krótkowzroczna. Mój kierownik mówi, że jestem bardzo miła, ale do stacji to mam aż 15 km“.

A w trzecim liście węzły wyrazów narastają, rosną. Niełatwo z nich supłać słowa. — „I ja jestem nauczycielem. Wiem. Trudno zostawić siebie przed progiem szkoły. Być dzieckiem a oczyma matki patrzeć w jasne oczy dzieci. Ale trzeba. I można. W codzienności, w zdarzeniach najbłahszych i najprostszych szukam istoty swej pracy. Idę do ludzi. Człowiek w swej pierwotnej strukturze jest jeden. Każda troska mego siermiężnego sąsiada — moją troską. Jego radość — moją. Znam każde dziecko

i wiem, dlaczego nieraz jest smutne. Tu, zdała od wykwintnej kultury świata — szukam samego siebie w twarzach i sercach prostych ludzi“.

Helena cofa się wstecz. Odnajduje wszystkie swe dni zagubione, zszargane, w strzępach. Trzy lata najlepszej młodości. Wpatruje się długo w list. Czyta kilkakroć. Przyjacielska dłoń wporę. Przed oczyma wyrasta z opłotków wieś. Wieś tonąca we mgle. Helena wspiera głowę o okienny parapet. Jakże ciężko. Drogą przechodzą dzieci. Spostrzegają w oknie nauczycielkę. Stają. Helena spogląda. W oczach dzieci szeroko otwartych znajdzie wielką ufność i wiarę. Chwila. Coś, jakby niebieski cień szczęścia.

Nadchodzi wieczór i zawiesza w oknach ciemne płachty. Chmury okrakiem żeglują na grzbietach dachów. Helena płacze.

JÓZEF CZECHOWICZ

USPOŁECZNIONE ABSURDY

Zamieszczony w 6 numerze „Kamień” artykuł M. Czuchnowskiego p. t. „Uspołecznione eksperymenty” jest jednym z ogniw kampanji tego poety przeciwko poezji. A cała jego kampanja jest skolei ogniwem w akcji wszystkich społeczników wszelkiego autoramentu. Społecznicy — obojętna to rzecz z pod czyjego znaku i zprawa czy zlewa — traktują sztukę jako argument w swoich rozgrywkach i nikt od nich innego stanowiska nie wymaga. Dla handlarza wszystkie wartości świata mogą być obiektami handlu, dla bojownika społecznego — narzędziami walki, dla filozofa — pretekstami pracy poznawczej. Jeżeli artykuł Czuchnowskiego uważam za szkodliwy i wymagający odpowiedzi, to tylko dlatego, że stanowisko demagogiczno-społecznikowskie przyjął tu poeta, a więc człowiek, który — zdawałoby się — z natury rzeczy winienby walczyć o estetyczne, poetyckie kryteria dla poezji.

Z artykułu wnioskować należy, że Czuchnowski ma postawę marksistowską, to znaczy widzi ze świata tylko tyle, co się da zamknąć w kategoriach aktywnych: aktualnych między połową X wieku a chwilą obecną. Dla światopoglądu tego niczem są zagadnienia historii w jej istocie, niczem jest dedukcja filozoficzna, niczem zdobycze nauki czystej, a w konsekwencji i sztuki czystej. Uproszczenie wszechzagadnień do formuły socjologicznej, désintereselement wobec wszystkiego, co nie jest łopatologicznie jasne (najgłębsze wartości religij, początek człowieka, kwestje ontologiczne etc.) — to zaiste łatwa i niezaszczytna droga, prowadząca może ku komplikacjom życia zewnętrznego, ale i ku wyjałowieniu człowieka, jako człowieka. Nie należy zapominać, że ziemia, po której stąpamy jest ciałem niebieskiem w Kosmosie i że rzuceni między potęgę czasu i przestrzeni mamy także większe zmartwienia niż wiecie!

Czuchnowski oskarża poezję awangardową, że służy ona celom wytyczonym jej bezplanowym dla postępu biegiem. Żeby wierzyć temu oskarżeniu, trzeba najpierw uwierzyć w absolutną wartość postępu, potem w jego istnienie, a wreszcie, w bezplanowość rzeczywistości danej.

Jeżeli i ja i szereg poetów, w których imieniu mówię, upieramy się przy estetycznych walorach i kryterjach w poezji, to czynimy to nie dlatego, żebyśmy nie doceniali jej społecznego znaczenia, ale dlatego, że nie chcemy go przeceniać, dlatego, że nie możemy uznać elementów układu społecznego za coś hierarchicznie wyższego od istoty bytu. Twórczość, jej psychologia i jej wytwory są organicznie związane z czemś najwyższem w człowieku, najwyższem w ludach i narodach, najwyższem na naszej planecie, a może i gdzieindziej — z pierwiastkiem metafizycz-

nym. Uświadamiając sobie to, nie widzimy żadnej potrzeby wiązania sztuki ze zjawiskami żyjącymi tydzień czy rok, z ceną soli, ze szwindlami partyjnemi, z ciemną reakcją prawicy i lewicy. Mogą się w poezji odbijać równie dobrze gniew monarchistów, jak i gniew ludu, o ile będą należycie brzmiały w harmonii poematu.

Czuchnowski pisze, że awangarda poetycka upaja się techniką poetycką dla techniki i nazywa to wyrabianiem aparatów dla aparatów, wozeniem automobili w samochodach. Pisząc tak przemileża demagogicznie szereg kwestyj. Po pierwsze: jedyną wartość społeczną sztuki polega na tem, że drogą doznań estetycznych zbliża ona zarówno twórcę, jak i odbiorcę dzieła do owego metafizycznego węzła świata, a tem samem pogłębia nas i czyni wyższymi, lepszymi. Jeśli więc pocieszarają się dać maksimum artystyczności, to nie znaczy, że robią aparaty dla aparatów, ale aparaty dla ludzi. Zresztą różnica między aparatami i autami z jednej strony, a sztuką i poezją z drugiej jest zbyt wyraźna, aby można było cokolwiek na tego rodzaju porównaniach budować. Jedne należą od świata rzeczywistości fizycznej, drugie do rzeczywistości psychicznej.

Artyzm poezji awangardowej osiągnął dziś bardzo wysoki poziom. Społecznicy, uznając, to, pytają równocześnie o pion moralny. Co ma jedno do drugiego? Praca twórcza w dziedzinie sztuki ma bliskie analogie z pracą twórczą nauki. I jednej i drugiej obojętne być muszą normy etyczne, o ile ełodzi o twórczość, nie zaś o jej pozór. W chwili obecnej sprawa nabiera zabarwienia konfliktu tak ostrego, jak ongiś konflikt między nauką, ukazującą ziemię jako pyłek kosmiczny, krążący wokół słońca, a kościołem twierdzącym, że jest odwrotnie. Jeśli poeci awangardy trwają na stanowisku pojmowania twórczości, jako specyficznego, bohaterkiego aktu poznawczego, rozbijającego straszliwą samotność wewnętrzną człowieka, są poetami walki. Jeśli wożą „w samochodach swych strof lzy białych utrzymanek“, są szoferami mieszczaństwa, jeśli wożą hasła wstecznicstwa są również szoferami i jeśli wożą program erfurcki, kategoria się nie zmienia, zmieni się jedynie liberja sługusów. Poezja awangardy winna wzmocnić swe pozycje. Skłaniając się sentymentem ku bezbronny i uciśnionym, winna nie zapominać że jednak nie może służyć porachunkom, w których aż za często „cel uświęca środki“, machlojkom i załganiom zarówno dolnych, jak górnych klas społecznych.

Obojętni są nam i nosiciele ciała i tragarze ducha i uspołecznione absurdy.

KSIĄŻKI NAJNOWSZE

Michał Rusinek „Człowiek z bramy“ powieść Wyd. Gebethner i Wolff Warszawa 1934.

Michał Rusinek, autor „Kapitana czerwonego widma“ i „Półmężczyzny“ wystąpił przed rokiem z ciekawą książką p. t. „Burza nad brukiem“, wydaną przez firmę Gebethnera i Wolffa w Warszawie. W dziele tem przejawiał się dopiero mocny talent młodego pisarza, talent o własnej odrębnej linii, linii pełnej świeżości, rozmachu i siły. W „Burzy nad brukiem“ zamknął Rusinek dzieje dzieciństwa proletariackiego dziecka, syna stróżki, Piotra Ożelucha, historję szarą, smutną i pełną codziennych zmagani o prawo do życia, rzuconą na tło pierwszych dni tworzenia wolnej Polski. Piotr dojrzewa więc w mrocznej i zatechłej atmosferze wilgotnej nory, w atmosferze lepkiej nędzy, pogardy i poniżenia. Dusi się, lecz w ciemnościach dostrzega piękno, a kto wie, może nawet napiękniesze, jakie kiedykolwiek już ujrzy w życiu, światło, a mianowicie blask miłości matczynej. Miłości tej poświęca Rusinek najdoskonalsze karty swojej powieści, zdobywając się nieraz w „Burzy nad brukiem“ na prawdziwie mistrzowskie miejsca (śmierć matki).

Duszę dziecka nędzy zna autor nawylot i dlatego powieść ta jest przesycona nawskroś prawdą, bijącą niemal z każdego obrazu i każdego słowa. Prócz wizjonerskiej znajomości duszy suteryn w „Burzy nad brukiem“, Rusinek czaruje nas jeszcze w swem dziele, soczystym, odrębnym, niezwykle ciekawym i oszałamiającym wprost niejednokrotnie stylem, stylem który mówi, że w autorze tym literatura polska zdobywa jednego z nowych potentatów, po którym mamy prawo spodziewać się nie-

jednej jeszcze daleko doskonalszej rzeczy, niż choćby taka „Burza“. Dlatego szeroka opinia z prawdziwym zadowoleniem przyjęła wyrok sądu krakowskiego, przyznającego nagrodę literacką miasta Krakowa temu młodemu, a już tak świetnemu pisarzowi.

Chwila przyznania zaszczytnego odznaczenia M. Rusinkowi zbiegła się jednocześnie z chwilą wyjścia nowej książki tegoż autora, stanowiącej cykliczną całość z „Burzą nad brukiem“, a mianowicie: „Człowieka z bramy“. W dziele tem znajdujemy dalsze dzieje syna stróżki krakowskiej, Piotra Ożelucha, który, zdobywszy już nieco grosza, wyruszył w świat i wylądował szczęśliwie w budującej się Gdyni, by tutaj przy warsztacie fotograficznym zdobywać upragnione pieniądze, pieniądze potrzebne na kupno takiej kamienicy, w jakiej pracowała niegdyś tak bardzo ciężko jego matka jako stróżka i której właścicielką miała być pierwsza miłość Piotra, Gąsiorkówna, ta Gąsiorkówna, którą ciągle nosił w sobie, jak talizman, pobudzający stale do bezprzykładnej orki. Jej to chciał Piotr cisnąć w twarz podobną kamienicę, jaką posiadała sama, by nie gardziła nim na każdym kroku, jak dotąd.

Osiedliwszy się w Gdyni, otwiera więc zakład fotograficzny w ubogim domu i przy pomocy brzydkiej Marty, córki gospodarza, u którego mieszkał, zbiera grosz do grosza. Pracuje ciężko, ale do pracy przecież przywykł oddawna, kiedy to jeszcze, będąc w Krakowie, giał się pod kublami węgla noszonego z piwnicy. Pracę jednak uważa Piotr nie za cel swojego życia, lecz za środek, wiodący do zdobycia majątku. Wreszcie jako człowiek stosunkowo zamożny wraca do rodzinnego Krakowa i tam w tej kamienicy, w której umarła jego droga matka, pochyla się do rąk takiej samej stróżki jak ta, jaka go niegdyś na świat wydała.

W „Człowieku z bramy“ Rusinek z wielką subtelnością podchodzi do psychologii swych bohaterów. Obraz psychologiczny jest tutaj bardziej jeszcze pełny, niż w „Burzy nad brukiem“, a zwłaszcza bardziej drobiazgowy. Opisy stanów uczuciowych Piotra Ożelucha przypominają czułą kliszę fotograficzną, notującą najdelikatniejsze, prawie że dla oka niedostrzegalne odcienie. Wadą tomu tego jest wątpliwość akcji, rozwijającej się z trudem i pozbawionej potoczności. Całość jednak cyklu należy uznać za rzecz pierwszorzędną wartości i za trwałą, nieprzemijającą pozycję w dorobku naszego piśmiennictwa.

KONRAD WRZOS—„KIEDY ZNOWU WOJNA?“ — Wyd. Gebethner i Wolff — Warszawa 1934.

Polski Knickerbocker, jeden z najzdolniejszych dziennikarzy i reporterów, wystąpił z drugą swoją książką, p. t. „Kiedy znowu wojna?“ Wielki sukces, jaki odniosła niedawno pierwsza książka tegoż autora p. t. „Okno w okno z kryzysem“, każe nam zwrócić baczną uwagę na nowy tom K. Wrzosa, wydany przez Gebethnera i Wolffa. Jest to zbiór reportaży z podróży, odbytej przez tego pisarza dokoła Niemiec, oraz z rozmów przeprowadzonych z mężami stanu poszczególnych państw, z takimi, jak: J. Piłsudski Massaryk, Henderson, Jędrzejewicz, Stauning, Dollfus, Paul Boncour, Deladier, Côt i wielu innymi. Marszruta Wrzosa obejmowała: Pragę, Wiedeń, Bern, Paryż, Saarbrücken, Brukselę, Hagę, Amsterdam, Warszawę i Gdańsk. Autor w poszukiwaniu ognisk zapalnych dotarł wszędzie, gdzie tylko spodziewał się znaleźć choćby iskrę tlejącą w popiele. Wrażenia zaś swe podał w sposób tak niezwykle ciekawy i interesujący, że książkę czyta się od pierwszej aż do ostatniej strony jednym tchem, tem bardziej, że i temat wybrał wprost fascynujący.

EDWARD LIGOCKI „Prawnuczka Fausta“ — powieść — Kraków 1934 — Wyd. W. Mejselsa.

Autor „Płonącego Rejms“ oraz „Sambry i Mozy“ dał tym razem powieść, której skąpa zresztą fabuła obraca się dokoła przeżyć dwojga kochanków: Marhor, pochodzącej ze starego, arystokratycznego rodu, „prawnuczki Fausta“, oraz oficera. Dzieje się zaś to wszystko podczas wojny światowej w Szwajcarii. Historia nieszczęśliwej miłości tych dwojga kochanków opowiedziana zręcznie i kulturalnie. Całość wydaje się jednak słabsza od poprzednich książek E. Ligockiego.

MARZEC W PISMACH LITERACKICH POD HASŁEM NUMERÓW SPECJALNYCH. Rozpoczęły go wileńskie „Żagary“ swym numerem litewskim. Redakcja niepotrzebnie usprawiedliwia się, że numer wychodzi „w chwili najmniej może odpowiedniej“. Uważamy, że właśnie w najodpowiedniejszej. Ponad bezmyślny krzyk demonstrujących studentów litewskich, ponad gwar rozwydrzonej ulicy i targowisko domorośłych polityków donośnie zabrzmiał głos młodych literatów wileńskich, wyższych ponad przemijające antagonizmy, podkreślających swą ciekawość dla kultury litewskiej i chęć zaznajomienia z nią ogółu swych czytelników. Numer przedstawia się interesująco i zawiera prócz artykułów informacyjnych przekłady z niektórych pisarzy litewskich (Boruty, Venclowy, Duonelaitisa i piszącego po francusku Oskara V. de L. Milosza). Szkoda tylko, że poezji litewskiej w „Żagarach“ tak mało. A przecież pięknem uzupełnieniem numeru byłyby przekłady wierszy kogoś z „Czterech Wiatrów“ czy „Trzeciego Frontu“.

„Wiadomości Literackie“ № 12 r. b. poświęciły w całości kulturze litewskiej. Numer bogaty, informujący czytelnika wszechstronnie o różnych odcinkach życia kulturalnego w Litwie dzisiejszej, składa się wyłącznie z artykułów, pisanych przez Litwinów. I to jest poważny sukces „Wiadomości Literackich“, które potrafiły sobie pozyskać pióra pisarzy z różnych obozów, i jednocześnie dowód, że literaci w obu państwach wyrastają ponad te lub inne konjunktury polityczne i że zawsze między sobą potrafią się porozumieć.

Potwierdza to piękny numer ukraiński „Sygnałów“ lwowskich. Znajdujemy tu szereg ciekawych artykułów, oświetlających różne przejawy życia kulturalnego Ukraińców, pisanych przez Ukraińców. Oprócz prozy informacyjnej numer zawiera bogaty wybór poezji ukraińskich Rudnyckiego, Antonycza, Czarneckiego, Kosacza, Hordyńskiego, Kupczyńskiego, Karmańskiego, Liwyckiej — Chołodnej, Małaniuka, Krawciwa, Olżycza i Tyczyny w przekładach Balka, Hollendra, Kunstmana, Czechowicza, Lebiody i Jaworskiego oraz fragmenty z prozy literackiej (Stefanyk, Czeremszyna, Proczyszyn). — Pro domo sua przypomnimy, że i № 7 „Kameny“ w dziale słowiańskim poświęcony był również poezji ukraińskiej.

LEWAR. Po dłuższej przerwie ukazał się № 6-y warszawskiego dwutygodnika literackiego pod nową redakcją E. Pietruszewskiego. Numer zawiera m. in. dokończenie ankiety w sprawie procesu o podpalenie Reichstagu.

BEZ W SAMOLOCIE Eugenjusza Żytomirskiego to zbiorek wierszy, nie wyrastających naogół ponad poziom przeciętnej łądności. Począwszy od „futurystycznego” tytułu (But w butonierce, Ananasy w szampanie), poprzez spóźniony urbanizm „Żelazo-betonu”, skończywszy na wpływach tuwimowskich („Panna Jadwiga” — niektóre erotyki) — tomik mało oryginalny. Do najciekawszych należą „Zamach na pociąg” (mimo naiwności koncepcji), „Wiśnie w miasteczku”, „Pierwsze wspomnienie” i „Chopin na Majorce”. Te wiersze właśnie każą oczekiwać od autora zbioru dojrzszych i bardziej samodzielnych wyników. (P. S. Laura to wyraz dwusylabowy z krótkiem „u”, nie może więc rymować się z „chmurą” i „torturą”!) — kaj —

STANISŁAW JERZY LEC: „BARWY”, poezje, Lwów 1933, księgarnia „Nowości”.

Oto do zbioru, pełnego ciekawych myśli, rzuconych na tło barw, dających tytuł całości—do wierszy nastrojowych, lirycznych i refleksyjnych, opiewających niedolę białego niewolnika, zdarzenia codzienne drobne i poważne, budzące nurty śpiących w nas wód poezji—wcisnęły się słowa bardzo mocne, ilustrujące bezpośrednio zetknięcia się z życiem, niemniej jednak obdarzone pewnym „zapachem”. Jak gdyby zgrzyt, może celowy, a może szukający rymu do: „kupiec”.

Wiersze o dużej dozie uroku i sile przekonania, powieździelibyśmy samowystarczalne, nie potrzebują już ilustracji graficznych, które dzisiaj, zwłaszcza przeładowane, nużą i nie robią wrażenia rzeczy koniecznych.

PO PRZECZYTANIU POWIEŚCI WITOLDA DEMBICZA: „POKÓJ”, Warszawa, 1933. Wydawnictwo „Sarmacja”, nieodparcie narzuca się tylko jedna odpowiedź: „Historja wręcz niemożliwa!” Więc wszyscy ludzie na świecie są oszustami, złodziejami, kłamcami, wyzyskiwaczami, bez serca? Więc po roku 1920, po drugiej wojnie, kiedy szukano ludzi, rwących się do pracy, biedni Koryńscy nie mogli znaleźć zajęcia? Jakiegokolwiek zajęcia? Czy można uwierzyć w to, by w Warszawie rodzina, składająca się z pięciu osób i mająca wpływowe stosunki z przed wojny, zginęła literalnie z głodu? Wąwozem powieści toczy się lawina życia, zostawiając je właściwie na uboczu. Neguje się tu wszystko, co dobre, zionie się przepastnym pesymizmem i brakiem wiary w bliźniego, pływa się po głębokich zagadnieniach społecznych, notuje się fakty, nie uzasadniwszy ich psychologicznie i logicznie, oskarża się wszystkich i wszystko dziecinnie i naiwnie, każąc wierzyć czytelnikowi, że tak działo się naprawdę.

Wyprowadzamy autora z błędu i twierdzimy, że nigdy tak źle nie było i nie jest, że nie wszyscy bliźni mają orle dzioby, sępie pazury i słownik Jerzego i Zbyszka Koryńskich!

Korekta niedbała (dostrzegliśmy 48 błędów drukarskich), prowincjonalizmy w rodzaju „sitwa“ i inne, nowotwór „zdarma-racja“ (str. 198), nie podnoszą naturalnie wartości ubogiej prozy.

Brak dialogów i opisów przyrody, z zamazaną chronologią zdarzeń, każą przypuszczać, że bezpośrednim celem tej książki było wyładowanie z siebie wszystkiego, co boli, bez oglądania się na tego rodzaju środki artystyczne, jak umiar, rzeczowość i prostota.

— zw —

PRO URBE SUA

Teatr Polski im. J. Słowackiego pod dyrekcją A. Rodziewicza wystawił w marcu dwie premjery: komedię S. Kiedrzyńskiego „Ten i tamten“ oraz dramat Rostworowskiego „Niespodzianka“.

Powierzchowna komedia Kiedrzyńskiego okazała się sztuką wcale teatralną, dającą niektórym artystom wdzięczne pole do popisu. Zwłaszcza kontrastowe charaktery męskie „Tego“ (dyr. A. Rodziewicz) i „Tamtego“ (p. Brodzikowski) oraz karykaturalna postać amanta prowincjonalnego (p. Jaroń), a z ról kobiecych kreacje dwóch siostr (p. Łuczycka i p. Sarnecka). Sztuka była naprawdę premjerą (bo najpierw w Chełmie grana), stąd wpływały pewne usterki w opanowaniu ról, zwłaszcza u p. Brodzikowskiego, grającego po raz pierwszy w tym zespole i widocznie jeszcze niedostrojonego do „rodziny“ dyr. A. Rodziewicza.

Na „Niespodziance“ zaciężył lwi pazur S. Wysockiej, która dała wstrząsającą w swym realizmie kreację matki, P. Modrzeński grał dobrze ojca, chwilami tylko może mówił za cicho. P. Leszczyński w roli karczmarza miał momenty wcale piękne.

24 marca odbył się w sali Seminarjum Nauczycielskiego Męskiego wieczór autorski grupy młodzieży literackiej „Przymaty“. Utwory swoje odczytali W. Iwaniuk, W. Matyszczyk, C. Morawski, W. Mrozowski i Z. Popowski. Jak sądzić można z odczytanych wierszy, Iwaniuk, Mrozowski, i Popowski najbardziej opanowali technikę, choć nie zawsze są samodzielni, Morawski zdaje się najmniej ulegać wpływom i dlatego jest bardziej oryginalny, wiersze Matyszczyka są narazie tylko zapowiedzią.

Biuletyn Polsko-Ukraiński № 44—48, Dekada № 25—28, Dziennik Urzędowy K. O. S. L. № 62, Front Teatralny Pos. 3, Lewar № 6, Nazustriez № 6, Państwo Pracy № 8 — 11, Pion № 9 — 12, Sygnały № 2 — 5, Wolność Sumienia № 2, Zet № 23 — 24, Żagary № 3 — 4.

Zbigniew Folejewski: Dom w Gorcach, Wilno, Chomiński 1934. Stefan Napierski: Od Baudelaire'a do madrealistów, Warszawa 1933. Stefan Kołaczkowski: Dwa studja (Fredro, Norwid) Warszawa, wyd. Droga 1934. Henryka Łasowertówna: Imiona świata, Warszawa, wyd. Droga 1934. Adam Szczerbowski: Łąka Bolesława Leśmiana, Warszawa 1934. B. I. Antonycz: Prywitania -tyttia, Lwów, „Dažboh“ 1931. Jarosław Jaryj: Włdczyniaju wikno, Lwów, „Dažboh“ 1932. Bohdan Kabariwśkyj: Striczamy w tyttia, Lwów, „Dažboh“ 1933.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. J. I. w OSTRZESZOWIE. Dziękujemy Panu bardzo za interesujący i miły list. Z nadesłanych łaskawie wierszy skorysytamy w późniejszych numerach. W najbliższych już bardzo ciasno.

P. M. S. w CHELMIE. Sądząc z nadesłanych próbek, warto pracować. Jeden z wierszy zamieścimy w czwartej kolumnie najmłodszych.

LIGA MORSKA i KOLONJALNA w LUBLINIE. Niestety, brak miejsca w naszym szczupłym miesięczniku literackim nie pozwala nam na zamieszczenie komunikatów.

Dla ścisłości musimy sprostować notatkę „Robotnika“ w Przeglądzie prasy z d. 15 marca r. b. „Kamena“ nie jest jedynym pismem literackim, które złożyło hołd bohaterskim robotnikom Wiednia. Uczyniły to jeszcze lwowskie „Sygnały“ w № 3 — 4-ym.

JUŻ WYSZEDŁ JAKO DRUGI TOM „BIBLIOTEKI KAMENY”

OGRÓD SŁOWICZY

I INNE POEZJE

ALEKSANDRA BŁOKA

w przekładzie K. A. JAWORSKIEGO

z 4-ma linorytami Z. WAŚNIEWSKIEGO

SKŁAD GŁÓWNY — REDAKCJA „KAMENY”.

Cena 1 zł. Z przesyłką 1 zł. 15 gr.

„Kamena” jest jedynem pismem literackiem Lubelszczyzny i Wołynia.